

Fredro w Szkocji



Garelochhead w Szkocji. Dawna pocztówka.

Florian Śmieja

Kiedy nasz samolot po wielogodzinnym locie dociera do celu, ogromną radość sprawia osoba, która pofatyguje się na lotnisko, by nas przywitać. Ponieważ zdarza mi się to rzadko, twarz Miecia na warszawskim Okęciu świeciła jak słońce po długiej, mrocznej nocy. Nie szło o duże, ciężkie walizki i niekorzystanie z nachalnych, pazernych taksówkarzy tarasujących wyjście, o wiele ważniejsze były ciepłe, pierwsze wrażenia i kontakt z człowiekiem znanym, przychylnym i pomocnym.

Mietka odwiedzałem już przed laty w Detroit. Prowadził wzorowo laboratorium. Miał swoje kłopoty, zazdrości sfrustrowanych i zazdrosnych ziomków, nieporozumienia. Niekiedy był trochę na bakier ze zdrowiem. Ale wrodzony optymizm kazał mu nie przejmować się tym wszystkim i opędzić się od tych wszystkich niemądrych rodaków

i Amerykanów.

Na emeryturę wrócił do Polski. Pod Warszawą kupił sobie dom i wraz z żoną wciągnął się w życie podstołecznego miasteczka. Miękkie serce sprawiło, że wnet oboje stali się przyjaciółmi okolicznych potrzebujących. Najbardziej hojni byli dla sierot, a św Mikołaj dla dzieci niepełnosprawnych stał się dla nich tradycją i wyczekiwany dzień.

Poznałem Mietka bodaj w 1946 roku w obozie wojskowym w Szkocji. Wojna w Europie się skończyła i aby mieć szansę na zatrudnienie i dobrze przygotować się do cywila, żołnierze zaczęli się garnąć na kursy gimnazjalne i licealne. W Szkocji w miejscowości Garelochhead, nad piękną zatoką blisko słynnego jeziora Loch Lomond, w tzw. beczkach śmiechu stacjonowało perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego.

Mietek, który chodził do niższej klasy, zjawił się jak znalazł, kiedy odchodząc musiałem zdać redakcję miesięcznika „Nasze Sprawy”. No nie była to żadna wielka rzecz, ot, kilkunastostronicowa powielana gazetka pisana na maszynie. Przynosiła różne teksty, często arcyważne, choć kącika humoru nigdy nie brakowało. Pewnego dnia, kiedy nie było ochotnika do pracy, a do pracy społecznej, niełatwej zazwyczaj tłoku nie ma, przyszedł Miecio i przejął redakcję. Dziś nasze nazwiska na pozółkłych egzemplarzach archiwalnych świadczą dobitnie o dawnej współpracy i zgodnie leżą w archiwum prasy polskiej wydawanej pod różnymi szerokościami geograficznymi.



Florian Śmieja (szósty z lewej na tle baraku) na obozie wojskowym w Szkocji w 1946 r., fot. arch. F. Śmieji.

Uczynność Mietka miała się najpełniej objawić, kiedy zaistniała największa potrzeba. Szkoła długo przygotowywała się do wystawienia jakiejś klasycznej polskiej sztuki. Wybór padł na Aleksandra Fredrę, chciano pokazać jego „Dożywocie”. Rolę kobiecą powierzono dziewczynie, którą sprytnie wciągnięto z okolicy do współudziału. I wszystko szło dobrze, aż do momentu, w którym katecheta dowiedział się o kobiecie w szkole. Rozpętała się wielka burza. W krótkim czasie było wiele interwencji, akcji i kontrakcji. W rezultacie zapadła jednoznaczna decyzja: dziewczyna musi się wynosić i mowy nie było o tym, by miała zagrać w komedii.

Tyle więc przygotowań i nauki za jednym zamachem wzięło w łeb, z trudem wielkim klecona impreza dostała śmiertelny cios. Sprawa stała się beznadziejna. I wtedy wkroczył Miecio. Pomyślał i zaręczył, że załatwi problem. Radość zapanowała w obozie, kiedy rozeszły się wieści, że mimo wszystko sztuka będzie grana i że kobieca rola Rózi zostanie utrzymana.

Wieczorem sala była przepełniona. I to nie tylko dlatego, że lokalna miejscowość wielu atrakcji żołnierzom nie oferowała, ale że tę komedię, zapowiadaną z dawna i przez pewien czas zagrożoną, chcieli oglądać wszyscy. Główna para męskich protagonistów, Herzog i Maciejowski, zaczęła brylować na scenie z taką maestrią, że

się koledzy pokładali ze śmiechu. I wtedy pojawiła się Różia. Najautentyczniejsza panienska, liryczna i kokieteryjna, ze swoimi niewinnymi minkami, ale i wyraźnymi insynuacjami. Ona wnet swoją kobiecą zaborczością zawojowała akcję i podbiła serca audytorium.

Nie pamiętam już, czy katecheta był na sali. Jeżeli był obecny to mógł się w pierwszych chwilach przerazić, że nie okazał się tak skutecznym młotem na heretyków, za jakiego się miał, że nie upilnował by szkoła nie była koedukacyjna. A na scenie ten głos rozlegający się z triumfem i te harce na podium.

Wreszcie ostatnia scena i nie kończąca się brawa. Rozswawolona Różia rzucała się na szyję aktorom, nie zważając na to, że była fotografowana. Niewiarygodna scena, nieprawdopodobna gra. Znakomitą Rózią okazała się być nie mniej ni więcej tylko Mieciem. Niezastąpiony, uczynny, znakomity aktor.

I tak nasz ojciec jezuita postawiwszy na swoim, stworzył nam jednopłciowy teatr jezuicki, ale jeżeli poczuł ulgę na widok chłopca w spódnicy, to może i te przebieranki nie mogły mu zbyt dobrze się kojarzyć.

Geoffrey Potocki de Montalk - „król Polski”.



Geoffreya Potocki de Montalk, Wellington, Nowa Zelandia, 1984 r.

Florian Śmieja

Wśród moich szpargałów z londyńskich lat czterdziestych i pięćdziesiątch zachowały się druki hrabiego z Montalku Potockiego, który należał do malowniczych postaci polskiej emigracji.

Na swoich odezwach, które własnoręcznie drukował ogłaszając otwarcie na marginesach "Printed by His Majesty Władysław the 5th, King of Poland and

Hungary” widniał herb a on sam przedstawiał się jako Władysław V Król Polski, Węgierski, Czeski, Wielki Ks. Litewski, Śląski, Kijowski, Gospodar Multański. hr. z Montalku Potocki.

Na pierwszej stronie Odezwy II pod wzmiankowanym herbem i tytułami widnieje cytat z Jana Ostroroga po polsku i po angielsku „Król Polski nie podlega nikomu prócz Boga”. Na to dictum chyba powoływał się w angielskim sądzie, w którym zjawił się w drewnianej koronie i monarszym płaszczu.

Skarżył się autor odezwy na przemilczanie przez polskie władze jego osoby i działalności podnosząc zalety swoje m.in. jako tłumacza na angielski „Dziadów cz. III” Adama Mickiewicza. Apelował do rodaków o wsparcie. Ulotkę kończył patetyczny dwuwiersz”

Czy nie wstyd wam

żeśmy w takiej biedzie!

W roku 1950 poleciliśmy naszej koleżance ze studiów, by napisała w imieniu studentów polskich w Cork w Irlandii list hołdowniczy do ekscentrycznego rodaka. Otrzymała kurtuazyjną odpowiedź adresowaną do „Mademoiselle la comtesse Ewa Ponińska”.

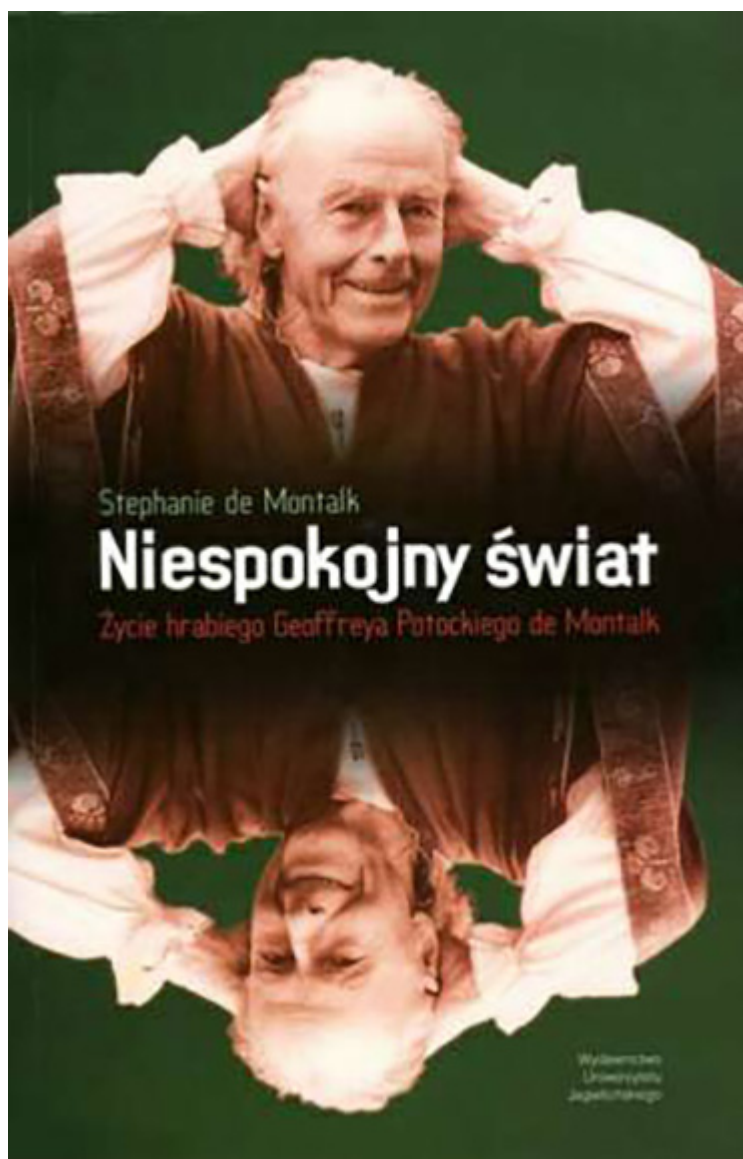
Film dokumentalny z 1987 roku o hrabim Geoffrey z Montalku Potockim:

<https://www.youtube.com/watch?v=n1akpb3nnWs>

W 2001 roku w wydawnictwie Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała się książka Stephanie de Montalk o jej krewnym, ekscentrycznym hrabim, p.t. „Niespokojny świat. Życie hrabiego Geoffreya Potockiego de Montalk”. Oto nota od wydawcy:

Niespokojny świat... to książka po raz pierwszy opowiadająca historię Geoffreya Potockiego de Montalk. Wykracza poza ramy gatunkowe biografii, dostarcza zaskakujących informacji o londyńskiej obscenie, cenzorze, skrajnie prawicowych politykach oraz prywatnej działalności wydawniczej Potockiego.

Hrabia Geoffrey de Montalk Potocki (1903-1997) – poeta, ekscentryk. Należał do pokolenia błyskotliwych nowozelandzkich poetów (z A.R.D. Fairburnem, R.A.K. Masonem). Stał się sławny w 1932 roku, gdy po londyńskim procesie, w którym bronił go Leonard (mąż Virginii Woolf), skazany został na pół roku więzienia za próbę opublikowania obscenicznego wiersza. Od tego czasu ekscentryzm Potockiego nasilał się: hrabia przywdział średniowieczne szaty, osiadł na południu Francji i zajął się wydawaniem własnych wierszy i pamfletów.



Franciszkanin na kanadyjskich Kaszubach



Kanadyjskie Kaszuby, widok na Katedrę pod sosnami, fot. Z. P. Wasilewski, Kronika Montrealska.

Florian Śmieja

Kanadyjskie Kaszuby nie przestają fascynować przybyszów. Każda nowa fala Polaków przybywająca tutaj, odkrywa je dla siebie, przywiązuje się do nich i wraca, by na tej ziemi spędzać weekendy, wakacje i urlopy,

W dziewiętnastym wieku z biedy, z bezrobocia, z możliwości otrzymania darmowej ziemi wielu ubogich wieśniaków wywędrowało z Pomorza, niektórzy z nich pojechali aż na drugą półkulę, do Kanady. Zresztą gnała ich nie tylko bieda, także postępująca germanizacja, pobór do wojska pruskiego, narzucanie kościołowi języka niemieckiego przy równoczesnym wyszydzaniu kaszubskiej kultury i języka.

Po wylądowaniu w Kanadzie w roku 1859 pionierzy kaszubskiego osadnictwa podali urzędnikom narodowość polską, a działki swoje otrzymali na szlaku Ottawa - Opeongo. W roku 1875 założyli pierwszą polską parafię św. Stanisława Kostki. Miejscowość, która wówczas powstała, a którą dla uczczenia jednego z proboszczów nazwano Wilnem, dziś posiada okazały kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej Królowej Polski, a w nim wierną kopię Matki Boskiej Częstochowskiej, dar Prezydenta Ignacego Mościckiego.



Kościół św. Matki Boskiej Częstochowskiej Królowej Polski w Wilnie na ontaryjskich Kaszubach, fot. Bejsment.

Kaszuby to szmat malowniczej ziemi leżący ok 120 km na wschód od Ottawy w trójkącie Barry's Bay, Wilno i Combermere. Jest to dzisiaj nie tylko jedyny rejon zamieszkały przez zwartą ludność polską, względnie pochodzenia polskiego, ale również miejsce dorocznych obozów polskiego harcerstwa i konglomerat domków letnich Polaków zamieszkałych w Ottawie, Montrealu i Toronto.

Z osiadłymi w Ontario Kaszubami związał się śląski franciszkanin ojciec Ignacy, inaczej ks. Rafał Grzondziel. Odwiedzałem go na Kaszubach, a także w sąsiadującym z London, Ontario, miasteczkiem Woodstock, gdzie przez kilka lat był proboszczem polskiego kościołka. Ten zasłużony kapłan spod Katowic spoczął na cmentarzu w ontaryjskim Wilnie. Tablica na obelisku odsłoniętym opodal przez niego zbudowanej kaplicy głosi w dwu językach, po angielsku i po polsku:

Kapelan II Korpusu Wojska Polskiego, odznaczony krzyżem Virtuti Militari, orderem Polonia Restituta, krzyżem Monte Cassino i wielu innymi. Twórca ośrodka na kanadyjskich Kaszubach. Budowniczy 'Katedry pod sosnami'. Harcmistrz i opiekun pierwszych obozów harcerskich na Kaszubach. Przyjaciół tutaj Kaszubów". W czasie odsłaniania tablicy pamiątkowej dziękowano mu za "tchnienie życia w ten zakątek polskości, z którego teraz korzystają następne pokolenia.



Ksiądz Rafał Grzondziel

Ks. Rafał urodził się 19 października 1912 roku w Panewnikach w rodzinie górniczej, miał jedną siostrę i pięciu braci. Uczęszczał do gimnazjum w Mikołowie i Katowicach. Zapisał się do Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” oraz do harcerstwa. Polubił wycieczki i biwaki. Następnie wstąpił do lokalnego kolegium franciszkańskiego. W roku 1929 ukończył szkołę średnią i małe seminarium. Rozpoczął nowicjat, a nałożywszy habit zakonny przybrał imię Ignacy. Następnie studiował w różnych seminariach wielkopolskich. 1 lipca 1936 roku, w kilka dni zaledwie po śmierci ojca, został wyświęcony w Katowicach na księdza przez ks. bp. Stanisława Adamskiego. Pierwszą jego misją było zorganizowanie budowy kościoła klasztornego pod wezwaniem św. Antoniego w Rybniku. Następnie został mianowany kapelanem domu-nowicjatu pod Poznaniem. Kiedy wybuchła wojna, konwój ewakuacyjny urszulanek przez Warszawę i Lublin dotarł do Zbaraża. Tam zagarnęły go wojska sowieckie. Ojciec Ignacy uciekł jednak z niewoli i powrócił na Śląsk. Pożegnawszy się na zawsze z matką przez Austrię, Węgry i Jugosławię przedostał się do Grecji. Stamtąd statkiem „Warszawa” popłynął do Libanu, gdzie zaczęto tworzyć Karpacką Brygadę. Jej naczelnym kapelanem był ks. Jan Brandys z Królewskiej Huty. Po kapitulacji Francji polskie wojsko z Libanu i Syrii przeszło do Palestyny i Egiptu. Ojciec Ignacy służył wprawdzie ks. prałatowi J. Brandysowi jako adjutant i sekretarz, później nieco został przydzielony do świty ks. bp. polowego Józefa Gawliny w Bagdadzie. To już na Bliskim Wschodzie ks. Grzondziel ułożył popularny żołnierski modlitewnik „Panie, pozostań z nami”, który ukazał się drukiem w 1940 roku i miał osiem wydań.

Z przedmowy do II wydania napisanej przez ks. Jana Brandysa, Dziekana WP, wynika, że autorami byli księża kapelani Brygady Strzelców Podhalańskich zaś nazwisko ks. Grzondziela figuruje jako cenzora wydawnictwa i kapelana, szefa Referatu Duszpasterstwa Wojska Polskiego. Imprimatur udzielił Patriarcha Jerozolimy – Aloysius w 1942 roku, wyszło nakładem Sióstr Elżbietanek w Jerozolimie tłoczone w drukarni oo. Franciszkanów w Jerozolimie. Skład wykonali zecerzy arabscy.

Kiedy wojska alianckie wylądowały na Półwyspie Apenińskim, a do nich dołączył także polski II Korpus, ks. Grzondziel zgłosił się na kapelana oddziałów liniowych i uczestniczył w całej kampanii włoskiej korpusu gen. Władysława Andersa. Był pod Monte Cassino, pod Anconą, szedł wzdłuż Adriatyku na północ. Ze szpicą Dziewiątego Batalionu Strzelców Karpackich wszedł do miasta Bolonii i zawiesił

biało-czerwoną flagę na jednej z wież.

Mianowany z kolei kapelanem garnizonu wojsk alianckich w Rzymie po czasie demobilizował się w Anglii i zapisał na studia w Oksfordzie. Przełożeni zdecydowali jednak inaczej i wysłali go do Stanów Zjednoczonych. W roku 1949 ks. Grzondziel zszedł na ląd w Nowym Jorku. Potem było Chicago. W roku 1952 zapisał się na studia prawa kanonicznego w Ottawie i nieomal od razu po przybyciu do Kanady zaczął myśleć o stworzeniu Katolickiego Ośrodka Młodzieżowego. Niedaleko miasteczka Barry's Bay, na ziemi zamieszkałej od pokoleń przez Kaszubów, znalazł dogodne miejsce na kaplicę i nabył leżącą niedaleko farmę z sędziwą stodołą, która mogła służyć za noclegownię.

W roku 1953 władze franciszkańskie oraz lokalny biskup zgodzili się na założenie Ośrodka mianując ks. Grzondziela jego kierownikiem. 2 sierpnia 1953 roku odprawił on pierwszą Mszę św. w nowopowstałej kaplicy. Z czasem kaplica nie mogła pomieścić wszystkich wiernych i zapadła decyzja, by niedaleko na cyplu nad jeziorem wybudować kaplicę z zadaszonym ołtarzem. W lasku przed tą kaplicą było dosyć miejsca dla wszystkich. I tak powstała funkcjonująca w lecie "Katedra pod sosnami".



Katedra pod sosnami, fot. Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej w Kanadzie. W 1960 roku ks. Grzondziel postanowił nazwać miejsce, gdzie się osiedlił, Kaszubami, i otrzymał na to zgodę władz. Aby nazwę tę utrwalić założył pocztę i stał się pocztmistrzem. Odtąd poczta ta z pieczętką "Kaszuby Ontario" oraz drugą z hasłem "Nigdy do zguby/ nie przyjdą Kaszuby" stała się pilnie poszukiwana przez filatelistów z wielu krajów. Zaimprovizowano też w roku 1954 wyciąg narciarski, który miał służyć zgoła przez dziesięć lat. W 1955 r. zaprowadzona została elektryczność i poszerzona droga dojazdowa. Do swojego Ośrodka ks. Grzondziel zaprosił harcerzy, bo od roku 1923, kiedy złożył przysięgę harcerską, był aktywnym harcerzem. Jeszcze w Polsce otrzymał stopień podharcymistrza. Brał udział w życiu harcerstwa na Bliskim Wschodzie uczestnicząc m.in. w zlocie w Jerozolimie w 1941 roku. W 1946 był jednym z organizatorów zlotu harcerzy w Rzymie i kapelanem ZHP na wychodźstwie.

Z Kaszubami ontaryjskimi miał się związać na zawsze, do swojej śmierci, która nastąpiła 22 grudnia 1998 roku. Przedtem przez kilka lat proboszczował w

Woodstock niedaleko London, Ontario. Wróciwszy na emeryturę do swojego umiłowanego zakątka, zmarł tam i spoczął na nowym cmentarzu w Wilnie, Ontario.

Poświęcając mu pamiątkowy obelisk nazwano go człowiekiem

bez którego kanadyjskie Kaszuby wyglądałyby zupełnie inaczej, bez którego nie było by tam harcerskich obozów, nie było by tego magicznego kawałka Polski w Kanadzie.



Odświeżenie obelisku poświęconego ks. Rafałowi Grzondzielowi na ontaryjskich Kaszubach, fot. Bejsment.



Obelisk poświęcony ks. Rafałowi Grzondzielowi na ontaryjskich Kaszubach, fot. Bejsment.

Osobistości powojennego Londynu

Florian Śmieja

Życie składa się z łańcucha epizodów, wydarzeń, spotkań, które bywają ciekawe lub monotonne, udane i mniej wydarzone, godne pamięci i zasługujące na zapomnienie. Do jednych się chętnie przyznajemy, drugie puszczamy w niepamięć. Żałujemy że

nam się przydarzyły, wolelibyśmy, aby ich nie było. Jeszcze po latach pozostają ślady, niby migawki z łycho pamiętanego filmu. Każdy z nas ma ich inny zestaw zależnie od losu, czasu, sytuacji. Ich ewokacje zaspakajają nostalgiczne ciągotki, ale i wywołują zadumę nad zdumiewającym kalejdoskopem minionego.



Ślub Zofii Poniatońskiej i Floriana Śmiei w Londynie, 17 lipca 1954 roku. W centrum – rodzice i babcia panny młodej. Za nimi (w czarnym kapeluszu) marszałkowa Aleksandra Piłsudska – żona Józefa Piłsudskiego, fot. arch. rodzinne.

Ponieważ wżeniłem się w rodzinę piłsudczyków, miałem okazję i szczęście spotkać prominentów z tego obozu z racji rodzinnych spotkań i uroczystości.

W pierwszym rzędzie poznałem kuzyna teścia, Juliusza Poniatońskiego, międzywojennego ministra rolnictwa, osobę mądrą i ascetyczną. To on zafundował nam *locum* w swoim skromnym mieszkaniu pod Paryżem, kiedy wybraliśmy się w podróż poślubną autostopem z Londynu do Hiszpanii. Stryj Juliusz karmił nas z oddaniem wymyślnymi sałatkami, które troskliwie przygotowywał.

A na nasz ślub w kościółku na Clapham Common w Londynie przyszła pani marszałkowa Aleksandra Piłsudska i wręczyła nam broszkę, chyba własnej roboty, która nam się, niestety, gdzieś zapodziała.

Żona za młodu była wzorową harcerką, bardzo serio traktowała swoje obowiązki, co częściowo jest zasługą wspaniałej drużynowej, Jadzi, córki "Montera", generała Antoniego Chruściela, którą uwielbiała.

Kiedyś pojechałem na ognisko harcerskie na Ealingu, bogatszej dzielnicy zachodniego Londynu. Wraz z niektórymi uczestnikami imprezy zostałem zaproszony potem na herbatkę do mieszkającego niedaleko gen. Józefa Hallera, tego samego, który przeszedł do historii m.in. z aktu zaślubin Polski z Bałtykiem. Pamiętam, że generał obsługując nas, wspominał swoją żonę, która niedawno zmarła.



Zofia Poniatowska i Florian Smieja wychodzą z kościoła po ślubie, Londyn 17 lipca 1954 r., obok druchna - Jadwiga Chruściel, fot. arch. rodzinne.

Na wykładzie Polskiego Uniwersytetu Polskiego Na Obczyźnie zagadnął o mnie moją przyszłą żonę minister Stanisław Stroński, profesor romanistyki. Przeczytał w wychodzącym w Londynie tygodniku "Życie" mój artykuł o wczesnej liryce

hiszpańskiej mogącej rywalizować z prowansalską, której Stroński był wybitnym znawcą. W ów wieczór spóźniłem się na wykład, ale niezawodna intuicja profesora zaprowadziła go do najwłaściwszej osoby po informacje, choć wtedy byliśmy jedynie kolegami szkolnymi. Kilka lat później otrzymałem nagrodę młodych im. St. Strońskiego, a on sam przewodniczył na wieczorze laureatów.

W tejże wszechnicy poznałem gen. Mariana Kukiela, który nam wykladał historię, a zwłaszcza epokę napoleońską. Jego rumieńce były powodem dykteryjki, która krążyła po Londynie.

Gdy został kustoszem Instytutu im. gen. W. Sikorskiego odwiedzający donosili, że widzieli generała, a na pytania ciekawskich, jak wyglądał, odpowiadali: "Jak żywy".



Drużyna harcerska Jantar. Trzecia od lewej – Zofia Poniatońska, fot. arch. rodzinne. Do osobistości powojennego Londynu należał profesor Stanisław Kot, ambasador i polityk gen. W. Sikorskiego. Dostrzegam przez mgłę pomaganie profesorowi w czytelni British Museum, gdyż miał już trudności z czytaniem katalogów.

Zaprosił mnie raz na wegetariański obiad. Nie umiałem się uporać z mnogością misek z różnorodnymi warzywami i orzeszkami. To była dla mnie absolutna nowość.

Profesor należał do zacietrzewionych graczy politycznych. Gdzieś zanotowałem sobie jego tyrady pod adresem adwersarzy. Sam nie cieszył się jednoznaczną opinią, a zdymisjonowany przez niego profesor Stroński miał zostawić ostrzegawczą kartkę z napisem: "Uwaga. Zły Kot".

Znanych Nowakowskich w "polskim" Londynie emigracyjnym było dwóch: pisarze Zygmunt i Tadeusz. Był jeszcze Marian, śpiewak. Występował z popularnym chórem wojska polskiego. Potem został zaangażowany przez słynną operę Covent Garden, gdzie śpiewał jako postawny bas w "Aidzie", "Borysie Godunowie" i innych operach.

Spotykałem go często, gdyż przychodził po żonę Marię, po zajęciach uniwersyteckich. Obserwując jego zachowanie w obecności żony, żartowaliśmy, że w domu to on śpiewał innym zupełnie głosem.

Maestro nas mile zaskoczył, kiedy zaśpiewał w kościele na naszym ślubie.



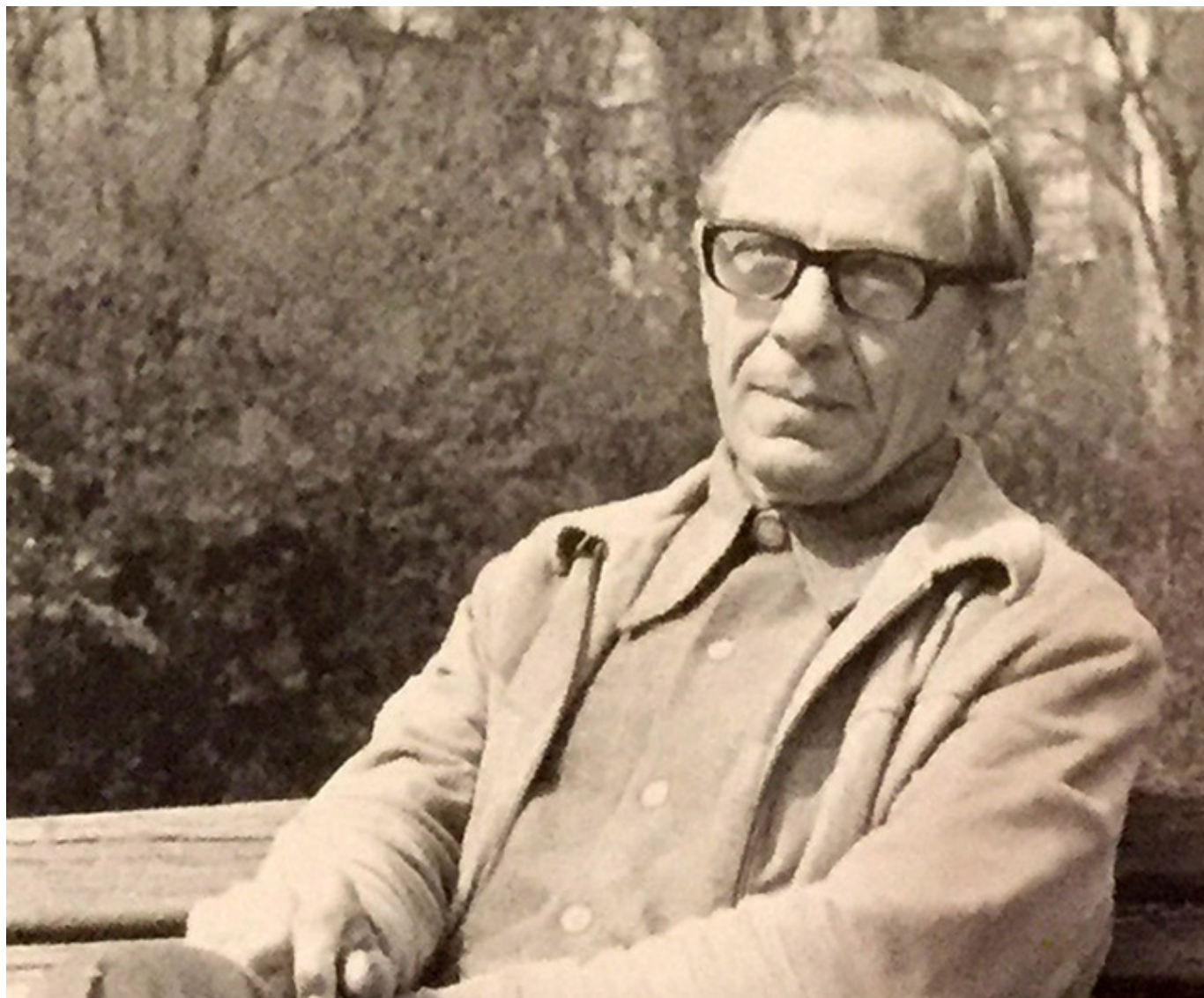
Józef Poniatowski (z lewej) odznaczony Orderem Polonia Restituta z prezydentem Edwardem Raczyńskim. W tle siostra Zofii Poniatowskiej, Wanda.

Z Londynem kojarzę dwu moich niezwykłych uczniów języka polskiego. Pierwszym był sir George Clutton. Zgłosił się do mnie po powrocie z Filipin, gdzie był ambasadorem Wielkiej Brytanii. Jego następną placówką miała być Warszawa. Wysoki, szczupły w grubych okularach był dawnym urzędnikiem biblioteki British Museum, który w czasie wojny przeszedł do dyplomacji. Znał hiszpański bardzo dobrze.

Był poważnym, pilnym uczniem. Raz zjawił się w szarym fraku. Okazało się, że był u królowej odebrać listy uwierzytelniające, na frak narzucił prochowiec i kolejką podziemną przyjechał na lekcje. Zapamiętałem obiad jaki przygotował dla mnie i mojej żony: jaja mewy i pieczone gołębie. Nauczył się na pamięć przemówienia po polsku i przed wyjazdem do Warszawy odwiedził ambasadora PRL w Londynie i przemówił, ku jego zdumieniu, czystą polszczyzną. Był to pierwszy ambasador Wielkiej Brytanii, który znał język polski i jego przyjęcia w Warszawie były cenione przez różne osobistości z kręgów opozycji.

Innym moim uczniem był przez pewien czas książę Adam Czartoryski z Sewilli. Życzył sobie, by jego nauczyciel znał język hiszpański. Czasem żartowaliśmy, że kiedy jego kuzyn zostanie królem Hiszpanii, a było to za czasów gen. Franco, to go mianuje swoim ambasadorem w Polsce.

Rezygnacja z łoży. Jan Rostworowski (1919-1975).



Jan Rostworowski, Kraków 1972 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Florian Śmieja

W Szkocji w roku 1945 wypadło mi pojechać do Edynburga z maszynopisem obozowej jednodniówki. Jako autor większej części zawartych w niej okolicznościowych wierszy doskonale pamiętam, jak jeden z zecerów wojskowej drukarni w pewnej chwili zawołał do kierownika: „Panie poruczniku, ma pan rywala w pisaniu wierszy”. Na to do pokoju wmaszerował przystojny młody oficer, wziął do ręki plik maszynopisów speszzonego starszego strzelca, przerzucił je i wnet wyszedł uspokojony. Takie było moje pierwsze spotkanie z poetą Janem Rostworowskim.

Krakowianin, syn wybitnego dramaturga i poety, Karola Huberta, którego kolędę z

wielkim pietyzmem recytował mi Jan Rembieliński w Londynie, kiedy odprowadzałem go z biblioteki *British Museum* do jego hoteliku - brał udział w kampanii francuskiej, a potem ewakuowany został do Wielkiej Brytanii. W czasie wojny debiutował jako poeta i wydał szereg tomów wierszy lirycznych, fraszek i prozy. Współpracował m.in. z czasopismami „Polska Walcząca”, „Wiadomości”, „Tydzień Polski”, „Oficyna Poetów”. Był członkiem jury dorocznej nagrody „Wiadomości” oraz laureatem nagrody Kościelskich.

Rostworowski pisał poezje, które się podobały. Na jego wieczorach autorskich w Stanach Zjednoczonych było tłoczno jak na bankietach. Kiedy redagowałem pismo młodych, skrzyżowaliśmy kilka razy szpady. Były to typowe porachunki piszących, nie pozbawione przekory i zazdrości. Jedna strona pomawiała rywala o kataryniarstwo i rolę bawidamka, druga wytykała adwersarzowi „niezrozumiałstwo” i „krótkie majtki”.

Później przez wiele lat nasze drogi się nie schodziły, ale pewnego razu Rostworowski wracając do siebie z Londynu (mieszkał w północnej Anglii) nałożył nieco drogi i odwiedził mnie na wsi pod Nottingham. Zajechał swoim nowusieńkim wozem i zamasyście oraz dziarsko wszedł do salonu. Jego pewność siebie nie była bez wpływu na naszą rozmowę, która jakoś się nie kleiła. Na domiar złego udało mu się poprawić mnie parę razy, co było dlań pewnego rodzaju satysfakcją za wcześniejsze polemiczne boje. Zaspokoiwszy ciekawość wyjechał. Wizyta nie doprowadziła do nawiązania bliższego kontaktu.

Dopiero podczas pobytu w Krakowie spotkałem go ponownie, gdy na Salwatorze wizytował swoją rodzinę. Bardzo do niej tęsknił. Mocował się ze sobą. Wreszcie powziął decyzję powrotu do Polski na stałe. Nie była to dlań decyzja łatwa. Nie jechał z zamkniętymi oczami. Polskę znał nie z lektury, a ból nieuczestniczenia w dramacie ojczyzny odczuwał dotkliwie:

To nie mnie uderzyła pałka w rozruchach w tym mieście

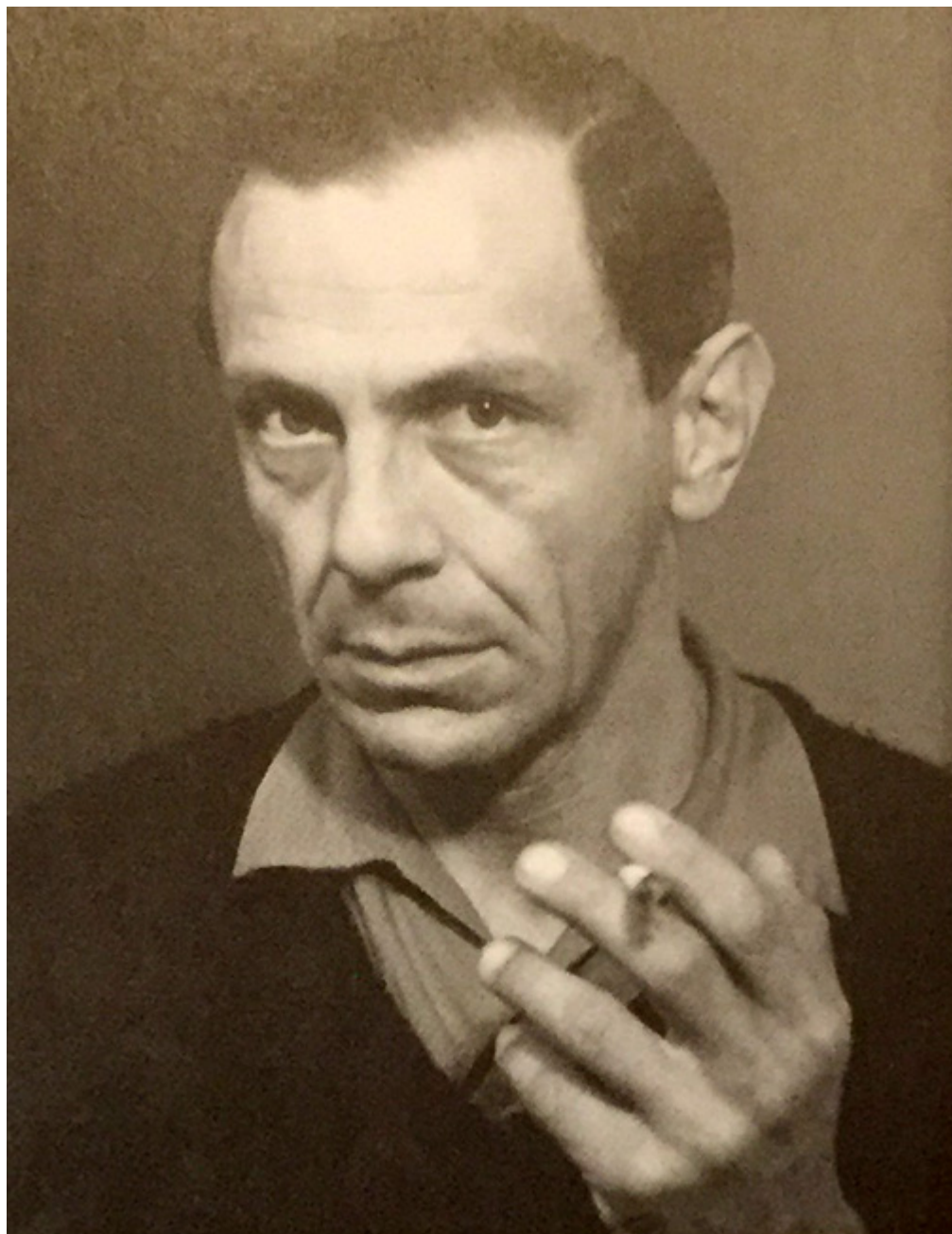
człowiek w niebieskim hełmie to nie jest mój stryj,

na tych barczystych panów w cyklistówkach

zwiezionych autobusami, patrzę, jak gdyby z łoży.

Powrót do kraju był rezygnacją z łoży. W liście z 10 września 1968 pisał m.in.:

Sprawy polityczne ostatnich tygodni tak (mnie) zgryzły, że czuję się tak, jakbym truczinę pił. Oczywiście nie potrzebuję dodawać, że te sprawy „rzutują” i na mój los osobisty, bo jakoś nie potrafiłem zneutralizować ich w sobie i to się w pisarstwie moim odbije i to mi może bardzo utrudnić życie. Zazdroszczę tym ludziom, którzy nie mają żyłki do włączania się jakoś w losy zbiorowości i potrafią opisywać „życie na wsi” czy „trzepotanie się ducha ponad wodami”, jak to czyni z powodzeniem świetny i autentyczny poeta Tadzio Nowak. Albo żeby tak można było utonąć w smakach i drzączkach baroku, jak Grochowiak. No, ale nie można.



Jan Rostworowski, Lancaster ok. 1960 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Tymczasem sklep z delikatesami w Lancaster prosperował nieźle. („Sprawy pisarskie i handlowe - ta przekłeta kombinacja, z której się już chyba do końca życia nie wymigam - obsiadły mnie mocno”.) W lirycznym pożegnaniu pt. „Zamykamy” poeta-kupiec zanotował:

Nigdy nam nie szło tak dobrze jak teraz. Co zdaje się jest w normie, jak w miłości przed przemianą, czy u kwiatu przed zwiędnięciem.

Cały bowiem ten kram, choć prosperował i zapewnił byt rodzinie, był mimo wszystko nieporozumieniem, a co najwyżej wyzwaniem. Poeta odejście skwitował słowami:

*Tylko, że myśmy nigdy przecież nie byli aprowizacją... Myśmy tylko znali słoneczne
miejsce dla oliwki, źdźbła pachnącej trawy dla bretońskich ślimaczków i tę chwilę,
w której owoc kandyzowany już nie jest tylko owocem i jeszcze nie jest tylko
cukrem.*

Wrócił z emigracji w 1968 roku - jego powrotowi towarzyszyły drwiny i insynuacje. A on wracał z tajoną przed ludźmi chorobą. W Krakowie przy ulicy św. Jana stoi kamienica, jego kamienica. Odstąpiono mu dawną stajnię w podwórzu z dostojnymi, starymi sklepieniami. Po ciotce dostały mu się stylowe meble. I tak powstało gniazdo, w którym otoczony przez rodzinę i odwiedzany przez przyjaciół poeta znowu znalazł oparcie.

Kiedy go tam odnalazłem, otrzymałem tomik wierszy miłosnych z dedykacją: „W pierwszy krakowski wieczór, aby ich było więcej”. Tak pisał człowiek z wyrokiem śmierci w kieszeni. Nigdy zresztą o raku nie wspominał. Zawiózł mnie jeszcze swoim samochodem do Tyńca, ale już w wierszu z tego okresu powiedział:

Kilka razy pięknie zaśpiewał ptak

kilka razy pięknie uśmiechnęła mi się kobieta

i przeszło życie.

Jednakże na jesieni 1974 roku trwało ono jeszcze i tliła się iskierka nadziei, którą usiłowały rozdmuchać podróże do brytyjskich lekarzy.



Kraków, ul. Św. Jana, lata 60.

Raz idąc do niego na ósmą wieczorem przystanęłam obok Sukiennic, by posłuchać hejnału, który o tej porze brzmiał najwyraźniej. Po skończonej wizycie Rostworowski odprowadził mnie do samochodu zaparkowanego na Rynku, aby wysłuchać ze mną kolejnego hejnału. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Bo kiedy w lecie następnego roku pukałem do drzwi jego mieszkania, zastałem je zamknięte. Odpoczywał w Lanckoronie, a wiersze, które pisał, tchnęły przecuciem zbliżającej się śmierci. Utrzymane w tonie godnym, a równocześnie pełnym pokory mówiły o tym, jak to poeta tematami żył zamiast ludźmi, że serce „za długo, za starannie chował w sobie myśląc, że pod żebrami jest na swoim miejscu”. Porzucił poeta „niebo z papieru”, pisał o moście. Takiego w końcu stał się przedmiotem monologu, gdy leżał skazany:

A teraz w końcu - powiada Stworzyciel -

mam go już na czworakach.

Orać nim można, bronować

tę ogromną resztówkę nazywaną niebem.

Potem zaczęły dochodzić złe wieści i nachodzić gorsze przeczucia. Bałem się pisać, bo donoszono mi, że chudł, że nie przyjmował pokarmu. Umarł w listopadzie. Umarł młodo, ale zdążył znaleźć się tam, gdzie każdy poeta chce przebywać: w swojej ziemi, pogodzony ze sobą i ze światem.

Któż z nas ma pewność, że dożyje kresu pod przychylniejszą gwiazdą?

**Czekam na cud. Jan Darowski
(1926-2008).**



W drukarni Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie, od lewej: ksiądz Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk i Jan Darowski, fot. arch. F. Śmieja.

Florian Śmieja

Jan Darowski był jednym z najciekawszych młodych polskich poetów londyńskich w połowie ubiegłego wieku. W późnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych brał istotny udział w kształtowaniu i uświetnianiu pism młodych: "Merkuriusza", a później "Kontynentów". Jako oryginalny poeta i wnikliwy krytyk wnosił świeże, odkrywcze spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Kiedy Czesław Miłosz cytował w "Tygodniku Powszechnym" jego wiersz *Post mortem*, komentował:

Żaden tak gorzki i okrutny wiersz nie został napisany w Polsce

i dodał:

czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego, ani wielu nazwisk poetów piszących poza krajem.

Darowski był także znakomitym tłumaczem. Może Miłosz przypomniał sobie w roku 2003, jak świetnie kilkadziesiąt lat wcześniej przełożył jego wiersze na język angielski? Zauważył to dawno temu Aleksander Janta, który w liście do wydawcy kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy”, Czesława Bednarczyka, napisał:

Gratuluję numeru. Darowskiemu zwłaszcza Miłoszowskiej wkładki. Czesław (sądzę, że miał na myśli Miłosza - FS) powinien się puszyć. Bardzo dobre wiersze: poeta w poetę.

Za najlepszego tłumacza na język angielski uważał Darowskiego także Kazimierz Wierzyński.

Do przekładania Darowski podchodził niezwykle sumiennie i poważnie. Kiedyś tłumacząc jeden z moich tekstów skarżył się na kłopoty z nim.

Intencja tego wiersza jest dla mnie wciąż niejasna, a póki tego się nie wie, albo nie zgadnie, to nie ma co marzyć o śmiałym, rzetelnym przekładzie tj. w sensie prawdy ducha, a nie litery.

Twierdził też, że:

...tłumacz musi wiedzieć dużo, dużo więcej niż autor, który często nie zna (nie musi znać) źródeł swych inspiracji i dróg, którymi doszedł do wyrazu. Tłumacz musi je znać, tj. wytropić lub trafnie odgadnąć.

Jan Darowski urodził się w 1926 roku w Brzeziu koło Raciborza na Górnym Śląsku. W Anglii pracował jako drukarz, a później jako kontroler w fabryce broni. Związany z grupą młodych poetów publikował wiersze i prozę w miesięcznikach „Merkuriusz Polski”, „Kontynenty”, w kwartalniku „Oficyna Poetów i Malarzy” oraz paryskiej „Kulturze”. Opublikował dwa zbiory poezji *Drzewo sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewane żywoty* (Londyn 1990). Nagrodzony został na konkursie

im.Tadeusza Sułkowskiego w 1968 roku.

Mało zabiegając o druk i nie wysuwając siebie stoicko akceptował dolę i niedolę pisania na emigracji w niedopolszczonym, odciętym od pnia języku. Nie miał złudzeń co do wagi literatury we współczesnym świecie, któremu poeta nie potrafił oferować zdobyczy równych osiągnięciom elektroniki, astrofizyki czy medycyny.

Niekiedy próbowałem podrzucić mu interesujące artykuły i książki. Dziękował mi, ale odkładał je na później. Odmawiał doraźnego czytania. Lękał się interferencji. Bał się, że każda książka zostawia ślad. Chciał pisać tylko z autopsji.

Jednym z tematów poruszanych przez młodych Polaków, przebywających na emigracji w Londynie wobec panującego w Polsce komunizmu, było przyjęcie języka angielskiego za język swojej twórczości. Zastanawiali się nad zrezygnowaniem z polskiego. Dobrze opanowanie języka angielskiego oraz przykład starszych kolegów, jak Jerzy Pietrkiewicz, kazały marzyć o możliwościach bardziej ambitnych, o dwujęzyczności.

Darowski wtedy napisał artykuł "Nieobecność i kara". Kazał w nim odrzucić wszelkie takie mrzonki. Wołał:

W jakim społeczeństwie jesteście dostatecznie obecni, aby móc być jego nie tyle prawdomównymi, co autentycznymi świadkami. Do Polski należymy przez język i z konieczności przeżywamy jej sytuację historyczną jako serię abstrakcyjnych pojęć, jako sytuację zasadniczo językową. Nasze obcowanie ze społeczeństwem brytyjskim jest „obcowaniem” głównie w tym sensie, że jesteście sobie wzajemnie obcy. Mówimy dobrze po angielsku, co nie znaczy, że oni nas są w stanie zrozumieć i odwrotnie.

I dodał dobitnie:

Aby działać w społeczeństwie brytyjskim, trzeba nam było pożegnać się z polskim podwórkiem, zatkać uszy na jego gwar, tłumić w sobie celowo i systematycznie wszystkie atawizmy z niego pochodzące, przynajmniej do czasu zapuszczenia korzeni w nowym społeczeństwie. Albo trzeba było wrócić do Polski... Bez wspólnego języka z Anglią i bez wspólnej treści z Polską – żegnaj nasza prozo.

Darowski był jednym z najciekawszych młodych poetów londyńskich, którzy w połowie ubiegłego wieku pojawili się na horyzoncie emigracyjnym. W pierwszym tomiku głosił:

Klucz też ma swoje chóry

jeśli go wrzucić w dość głęboką studnię

i o nim zapomnieć

śpiewa wtedy zatopione pieśni Atlantis

i piękny jest

i jego żurawie wracają

Tak jak wielu emigrantów wojennych nie pojmował rosnącego pędu Polaków do opuszczania Polski. Dziwiły go ich pretensje do kraju i narodu. Emigracja żołnierska nie opuściła ojczyzny z powodu koniunktury i pustych sklepów w Polsce. Biedowała i tęskniła, czuła rozłąkę, chciała wrócić, a nie do pomyslenia było gremialne pragnienie, by stać się cudzoziemcem.

Jako jeden z niewielu nie odwiedził po wojnie swoich rodzinnych stron. Najpierw na przeszkodzie stały różne sprawy osobiste, potem przeszkadzały problemy zdrowotne. Kiedy się z nimi uporał, zaczął starać się o polski paszport, by w 1993 r. wybrać się do Brzezia. Plany te udaremnił ciężki udar i inne poważne dolegliwości, kazały mu pożegnać się z myślą o wizycie. Odwiedziny siostry odnotował nieco szorstko jako koniec tęsknoty do przeszłości.

I tak jej nie ma, prócz w mojej głowie, gdzie lepiej żeby została. Tam może jeszcze coś twórczego z niej wyniknąć. Nie ma sensu konfrontować przeszłości z terażniejszością. Teraźniejszość niewiele na tym zyskuje, a przeszłość wszystko traci. To wszystko, co jest w niej dynamiczne, zapładniające wyobraźnię.

Spytałem go, czy nie tęskni do swojej małej ojczyzny, do Górnego Śląska, czy nie inspiruje jego wierszy. Odpowiedział, że z myślą o swoich stronach pisze, ale nie wedle kanonów pisania wierszy regionalnych.

Może kiedyś, gdy zupełnie przeminie tamten kopalniano-hutniczy świat i stanie się legendą.

I wskazał na wiersz *Powroty*.

Kto to są ci, którzy „o’Eos różanopalcej” nie słyszeli nigdy. Jeśli nie widzisz tu „prostych ludzi”, hut, kopalń, trudów i śmiertelnych niebezpieczeństw w codziennym życiu, tej starości na działce podmiejskiej czy w wiejskim ogródku, tych niespełnionych marzeń i przegranych lat, to co możesz tam widzieć? Ja myślałem o naszych ludziach, którzy szli do kopalń i fabryk polnymi drogami, latem czy zimą, pieszo, po kilkanaście kilometrów, o ciężkich szychtach, sześć dni w tygodniu między Scyllą chłodu i Charybdą głodu sześć dni w tygodniu, „Ściągnami przywiązani do swych kręgosłupów”, ich dzieci w uszach miały wosk przeciwko wszystkim zewnętrznym pokusom i nawet szeptom wewnętrznym, by nie tracić odwagi, nie poddać się, do końca trzymać się trudnej, życiowej drogi, ginąć w walących się sztolniach, a gdzie indziej od wylewających się hutniczych pieców strumieni żelaza. Bo takie było już u nas życie... Wziąłem odważnego i cierpliwego Odyseusza na katalizatora tych uczuć i epicki język Homera sam się w to wsunął. Bo w jakim języku miało to być wyrażone?

Ale dla mnie życie naszych ludzi było bardzo (bo bezwiednie) heroiczne: język, który się temu narzucił zupełnie mi odpowiada. Nie czuję w nich fałszu ani nawet przeciągania. Dlaczego nasz wschodni hreczkosiej może zasługiwać na epicki język, ale nasz górnik nie? Nie wszystko w Homerze jest o bogach i herosach. Pulsują też życiem w jego heksametrach zwyczajni ludzie: służba, rybacy, rolnicy. I nie są mniejsi dla mnie niż ci szlachetni tam zabijacy.

Darowski pamięta swojego polonistę ze szkoły powszechnej, który otworzył jego głowę na świat twórczego słowa. Jemu i matce, o której powie, że była bardzo religijną kobietą, tylko szkołę podstawową ukończyła, ale nie spotkał w życiu ani mądrzejszej,

ani bardziej kulturalnej. Im najwięcej z wszystkich ludzi duchowo zawdzięczał. Oświadczył również:

Wiersze brzesko-górnośląskie i prozę pisywałem, pisuję i będę pisywał zawsze, bo ten świat jest moim kamieniem probierczym wartości wszystkiego w życiu, szczególnie w polskim.

Złe zdrowie z czasem zaczęło ograniczać wiele jego aktywności. Także naszą korespondencję. W ostatnim liście napisał:

Otóż jakiejś nocy wpadłem do jakiegoś głębokiego dołu i leżę na dnie. Gdzieś wysoko nade mną dzieje się życie i nawet słyszę czasem moje imię. Ale cóż z tego. Trzymam się za pokaleczony łeb i słucham nieustannego w nim szumu, od którego nie ma nigdzie ucieczki. I czekam na cud.

Tego cudu wszyscy mu życzyliśmy przez dziesięć lat. I on też miał nadzieję.

Pamiętna noc na Monte Cassino



Zofia i Florian Śmieja z dziećmi w podróży.

Florian Śmieja

Z żoną i czworgiem dzieci kempingowym samochodem wybrałem się do Polski w 1974 roku, a w drodze powrotnej jadąc do Hiszpanii odwiedziliśmy Włochy.

Miało się ku zachodowi, był czas ruszyć w drogę powrotną do Rzymu. Gdy zapadł już zmrok zbliżyła się odnoga szosy prowadząca do Cassino. Postanowiliśmy zboczyć. Kiedy po kilkunastu kilometrach byliśmy u podnóża góry, stanęliśmy, by zasięgnąć języka. W barze Włoch opisał drogę na cmentarz, ale nie umiał nic więcej powiedzieć o nim, bo dawno nie był na górze. Wjechaliśmy więc w ulice miasta, a znalazłszy drogę wiodącą do klasztoru, jęli się wspinać na strome zbocza Monte Cassino. Wóz nasz z mocnym warkotem parł wytrwale w ciemnościach windując się co raz wyżej nad rześkie oświetlone miasto. Niebo było naładowane gwiazdami a ponieważ był

początek stycznia 1975 roku, powietrze było chłodne. Gdy dojechaliśmy do rozwidlenia dróg, byliśmy w ustroniu nad którym stał biały, upiorny w księżycowej poświacie klasztor bez jednego światełka z jednej strony, na tle ciemnych szczytów lasu z drugiej strony.

Stanąwszy w końcu przed bramą, zauważyliśmy napisy i poszliśmy, uzbrojeni w latarkę w kierunku, jak miało się wnet okazać, złym. Wątki migot prowadzącego nas światła wnet ogarnęły lasy porastające górę, kiedy zaczęliśmy iść pod górę w ciemną noc w poszukiwaniu grobów żołnierzy, których droga tu się urwała. Dzieci ogarnął jakiś lęk, bo szły nadzwyczaj skupione podekscytowane całą wyprawą, a napisy na drzewach ostrzegały, że okolica pełna była niewypałów.



1946 rok. Ruiny klasztoru Monte Cassino - krzyż nagrobny na Polskim Cmentarzu Wojennym, fot. T. Zajączkowski.

Szliśmy ostrożnie dziwując się, że to tak daleko i wysoko. W dwu miejscach natrafiliśmy na skrzyżowanie, ale w końcu stanęliśmy na szczycie, na którym wynosiła się nad okolicę iglica imponującego pomnika ku czci żołnierzy 3 Dywizji

Strzelców Karpackich. Okazało się, że byliśmy na wzgórzu Albaneta, o które toczyły się krwawe walki, w których oprócz Polaków brali udział żołnierze oddziałów brytyjskich, amerykańskich, indyjskich i Gurków. Na tej „górze ofiarnej” przy świetle latarki czytaliśmy nazwiska żołnierzy poległych na ziemi włoskiej. Kiedy tak staliśmy na chłodzie i patrzeli na okolicę zrozumieliśmy, że zagubiliśmy drogę i trzeba było zejść w dół. Przy dramatycznym akompaniamencie spadających „gwiazd”, którym dzieci nie mogły się nadziwić, kiedy odbiwszy w bok i uszedłszy kawałek zbudziłyśmy sforę psów w jakimś gospodarstwie, spotkaliśmy ludzi i wyłuszczyliśmy im nasz interes po nocy. Wytłumaczyli nam jak iść, a nawet podwieźli samochodem. Od bramy, gdzie stał nasz wóz trafić było łatwo. Obok włoskiego pomnika biegły schodki, które szeroką aleją wiodły do cmentarza. Wnet stanęliśmy przed żelazną bramą zamkniętą na łańcuch. Nie chcieliśmy jej forsować, nie godziło się przez nią przechodzić. Odczytaliśmy napisy, przy latarce kontemplowaliśmy zbiór mogił żołnierzy, co ziemi włoskiej oddali ciało, a Polsce serce. Nasza modlitwa o spokój ich dusz, kiedy staliśmy w ciemności pod gwiazdzistym niebem przed zamkniętą kratą cmentarza w zimną noc styczniową miała w sobie coś z romantyzmu i ironii montekasyńskiego czynu. Przyszły mi na myśl słowa Zbigniewa Herberta:

Bohaterowie nie wrócili z wyprawy

Nie było bohaterów

Ocaleli niegodni

Bo jak powiedział jeden z uczestników włoskiej kampanii, który zginął pod Anconą: „z tej wojny nie należy wracać”.

Kiedy odjeżdżaliśmy zziębnięci, przejęci i zmęczeni, nie byłem pewien, czy to przeciwstawienie niememu klasztorowi upiornie płynącemu po niebie, bladej kwatery poległych żołnierzy, jest najszcześniejsze i czy zwycięzcy na dłuższą metę nie przyplacą tego także swoim dobrym imieniem.

I w milczeniu powróciliśmy późną nocą do Rzymu.